

## Domki z kart

dodane 2008-03-23

Dawno, dawno temu funkcjonowała w Polsce profesja o dziwnie (i niezbyt pięknie) brzmiącej nazwie kamienicznik. Kto zacz? W żadnym wypadku nie był to facet, który łupał kamienie na paryskim bruku. Każdy, kto miał pieniądze i chciał je rozsądnie zainwestować, budował kamienicę i stawał się kamienicznikiem. Wynajmował następnie mieszkania w owej kamienicy, pobierał od lokatorów „komorne”, przeprowadzał remonty (bo była to jego własność)...

Z takiej inwestycji spokojnie i dostatnio żył inwestor i jego rodzina. Nie wyłączając potomków. Kamienicę dostawali bowiem w spadku potomkowie inwestora. Władze państwowe (również zaborcze) nie ingerowały w „politykę mieszkaniową”. Dzięki temu system działał sprawnie przez długie wieki. Świadczy o tym, dziś jeszcze, ogromna liczba przedwojennych kamienic w miastach całej Polski!

Stan taki trwał do zakończenia II wojny światowej. Skończył się wraz ze zniknięciem kawioru ze sklepów. Po 1945 roku zaprowadzono nowe porządki – robotniczo-chłopskie porządki, proletariackie porządki. Władza uznała, że pora wprowadzić ogólnokrajową „politykę mieszkaniową”. No i zaczęło się!

„Kamienicznikom” odebrano ich prawowitą własność, a mieszkania zasiedlili „przyjaciele królika”, którzy chcieli mieszkać za darmo, albo też za czynsz którego wysokość ustala... sami!. Wysokość czynszu za prawo mieszkania władza ludowa ustaliła w taki sposób, że lokator płacił jakąś symboliczną kwotę, pod warunkiem oczywiście, że miał na to ochotę. Pomysł wydawał się rozsądny. Władza ludowa (!) płaciła obywatelom symboliczne kwoty za pracę, o ile – rzecz jasna – uznała, że płacić chce, toteż i wymagać zbyt wiele nie mogła.

Efekty takiego gospodarowania „zasobami mieszkaniowymi” nie dały na siebie długo czekać. W ciągu kilkunastu lat budynki uległy całkowitej dewastacji. Lokatorzy zamienili klatki schodowe w szalety, pijalnie tanich win owocowych i lupanary. Nie remontowano ani mieszkań, ani budynków. W momencie kiedy sufity zaczynały się mieszkańcom walić na głowę, a innym podłogi znikać w czeluściach niższych pięter - lokatorów przekwaterowywano do nowych mieszkań.

Problem polegał na tym, że nie było gdzie przekwaterowywać. W Polsce Ludowej toczył się „bój” o nowe mieszkania. O budowaniu nikt nie myślał. A już jeżeli to myślał o budowie mieszkań zaiste przedziwnych. Ze ślepymi kuchniami, bez kuchni, bez balkonu, ale za to z drzwiami balkonowymi i barierką. Zadziwiał metraż mieszkań – luksusowe M-4 o powierzchni 38 metrów! Mnóstwo takich mieszkań można znaleźć w osiedlu Za Żelazną Bramą lub obok Warszawianki i nieistniejącej już skoczni narciarskiej przy Puławskiej.

W latach 70-tych zastosowano nową technologię – wielką płytę. Mieszkań z owej płyty nie dawało się ogrzać, kąt prosty między ścianami a podłogą trafiał się z rzadka; zaś sama płyta okazała się być rakotwórcza.

Na dodatek wszystkiego „władza ludowa” kazała czekać na mieszkania po kilkadziesiąt lat, i bardzo się cieszyć w momencie otrzymania przydziału.

Czasy na szczęście się zmieniły. Nadszedł rok wielkich zmian – 1989. Wszystko się zmieniło, ale o 360 stopni. Kamienicznicy (w małej części) odzyskali swoje kamienice. Nikt jednak nie zająknął się nawet o jakiegokolwiek rekompensacie za straty poniesione w ciągu 45 lat działania szaleńczej polityki mieszkaniowej. Politycy nowego chowu ustalili prawa, które – w zasadzie – nie pozwalają wykwaterować lokatora, który nie płaci czynszu. I słusznie, ponieważ zarobki przeważającej większości Polaków nie pozwalają na płacenie wysokich czynszów. Ba! jakichkolwiek czynszów.

Mieszkanie – tak jak kiedyś – stało się dobrem luksusowym. A skoro tak – dobrem pożądanym. Idąc dalej tym tokiem rozumowania: rozdawnictwo, a w zasadzie obietnica rozdawnictwa tanich mieszkań stała się atrakcyjną ofertą wyborczą różnej maści populistów. Prezydent Kwaśniewski obiecywał tanie mieszkania, za to w wielkich ilościach dla młodych małżeństw. Przy okazji dla wszystkich potrzebujących. Kilkanaście lat minęło od owych obietnic, a mieszkań jak nie było, tak nie ma. Tanich, komunalnych mieszkań oczywiście! Aleksander Kwaśniewski gotów był obiecać podczas kampanii wyborczej wszystko wszystkim. Jamnikowi – krzewy obrosłe parówkami. Kotu – miski pełne mleka. Łobuzowi – procę. Brydźście – szlemy w bez atu. Nie mógł tylko obiecać swoim wyborcom uczciwych rządów, mądrych premierów...

W ślady prezydenta Kwaśniewskiego poszli (nie pomni na różnicę wzrostu) bracia Kaczyńscy. Premier Tusk nie obiecuje mieszkań, bo cóż tu obiecywać.

Ustawy reprivatyzacyjnej doczekać się nie można. Tytuły własności nic nie znaczą w polskich sądach. Potomkowie kamieniczników, którzy odzyskali kamienice nie mają pieniędzy na remonty, nie mogą wykwaterować lokatorów, nic nie mogą... Choć nie – mogą patrzeć jak w ruinę popada chluba ich przodków.

Nie marzę o zwrocie przedwojennych majątków mojej rodziny. Z wielu powodów odmówiłbym wręcz przyjęcia pałaców i kamienic – nie stać mnie na taki dar. Wolę już kamienie tłuc na bruku – byle paryskim bruku.

anonim